

z nich żyje własnym życiem. Ta pierwsza wciąż nie odgadując zagadki życia, tak by powiedzieć: oto jest, wciąż się gmatwa i stawia hipotezy. Ta druga opierając się na dogmatach. Tu i tam dzieje się świat na niby. Tu i tam jest *dyrektor* i jest *podwładny*, ten który wykonuje polecenia i ten je wydający. W nauce poprzez racje, w religii poprzez przeświadczenie. A racji dopóty nie będzie mieć nauka, dopóki nie przedstawi bezwzględnych prawd swoich stanowisk. Einstein wcześniej przewróci się w grobie, Darwin może zamamrocze, ale nie dlatego by nie byli pewni swoich prawd, tyle że te prawdy wciąż nie dają odpowiedzi na podstawowe pytania człowieka o sens obecności, czyli nie rozwiązują problemów źródłowych. A z kolei religia mówi o swym Kościele — w szkicu *Duchowny* Czesław Miłosz w *Piesku przydrożnym* pisze:

Ależ dzieje Kościoła są pełne takich przykładów. Z pewnością mniej jest dzisiaj wśród księży ludzi żarliwej wiary. Większość z nich ma wiarę letnią albo słabą, na pograniczu niedowiarstwa. Ale dzieje Kościoła dowodzą, że kłamcy, obłudnicy i świętokradcy w jego łonie chcą nie chcą pracowali na rzecz jego trwałości, toteż i ci dzisiaj mogą być użyteczni.

A zatem życie na niby, żyjące własnym życiem. Zgoda na ten świat, który rządzi się teatrem naszych poczynań. I tylko nieliczni, dla których duch rywalizacji jest martwą tkanką, powierzchnią bytu, oddzieleni od tzw. codzienności, czy czasem nie właśnie nią, tą powierzchnią, twardą skorupą z martwych tkanek utworzoną? Będąc więc wewnątrz chaosu, płynnej masy, która stawia mnóstwo czasem sprzecznych pytań staramy się przebić, stworzyć własny korytarz i powrócić do stanu, kiedy droga do Raju była dla nas otwarta, a potem my będziemy jego obywatelami.

Przypomina mi się dyskusja jaką poczyniłem na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, a więc czasu wielkich nadziei, gdy demokracja w Polsce była w stadium początkowym i skłaniała ku wielkiemu optymizmowi wśród przeciętnych ludzi. Nie, nie była to rozmowa o polityce, ta była paradoksalnie poza mną, choć wszystkie znaki na ziemi i niebie by wskazywały, że właśnie tym powinienem się wtedy bliżej zająć... W jednej z częstochowskich kawiarni spotkałem się z mym niedawno poznanym kolegą po piórze, później przyjacielem, lubiącym Grochowiaka i ceniącym naszych poetów tzw. wyklętych jak jeszcze w tym czasie nazywano Babińskiego, Wojaczka, Stachurę... Ja, jeszcze patrząc na Juliana Przybosa i dokonania Krakowskiej Awangardy byłem więc dobrym kompanem do dyskusji. Lecz nie o tym tutaj. Ona zesła, ni stąd ni zowąd, na sprawy bardziej istotne. Pojawił się problem władzy jako takiej. I to: dlaczego człowiek nie potrafi żyć w symbiozie z drugim człowiekiem, dlaczego nie panuje między nimi zgoda, kiedy zjawilo się pierwsze – nie, i dlaczego? Stalaliśmy się sobie wyobrazić początki gatunku homo sapiens, człowieka pierwotnego by rzec ogólnie – i nagle zjawila się wielka dziura, i słowa przestały mówić. Nie wiem czy ja, czy Rysiek Sidorkiewicz, bo o nim tu mowa, poeta z Olsztyna koło Częstochowy, ktoś przerwał tok nie mającego już zbytniego znaczenia wspólnego wywodu i stuknął palcem o blat stołu. To był chyba Rysiek. Po czym ja i tak na przemian. Stukaliśmy sobie, a obydwa tak samo brzmiały. Stuk – Stuk. Stuk – Stuk. Baczyliśmy na to, aby były pod względem siły uderzenia takie same patrząc sobie w oczy. Nikt

nie chciał bardziej niż drugi. Dlatego też nikt nas nie uciszał, a kelnerka zza baru przyglądała się tylko i jej słodką tajemnicą pozostanie co sobie wtedy myślała.

Ważne jest tutaj to pierwsze uderzenie w trakcie tego, gdy myśli i intuicje przestały funkcjonować, dotarły do nieprzekraczalnej granicy. Ten instynktowny ruch ręki Ryska, uderzenie serdecznym palcem o blat stołu jest tutaj symboliczny.

Zabawa nagle ucichła nie widząc ostatecznego rozwiązania. Nie pamiętam kto przestał. A dla obrazu naszych tu rozważań nie ma to żadnego znaczenia. Obydwoje pokonani wypiliśmy pewnie po jeszcze jednej wódce.

To poczucie oddzielenia, braku zakorzenienia towarzyszy mi odkąd pamiętam. Ten świat na niby oparty na władzy, który zastałem i do którego wciąż nie można mieć przekonania. I ta z drugiej strony chęć bycia jak inni, o czym pisał Czesław Miłosz w przywoływanym już tu dwukrotnie *Piesku przydrożnym*, w tekście *Być takim jak inni*. Udamę więc „wiejskiego głupka”, chociaż wszyscy wiedzą, że tak nie jest. Udamę „wiejskiego głupka” lub dziecko, które stawia pytania podstawowe. I przyglądają mi się bacznie. Budzę konsternację. Lub jestem: człowiek – milczenie. Bo cóż mogę. Jakie spowodować słowa? Nie znam ich na płaszczyźnie racjonalnej prawdy o życiu, a w każdym razie się w nich czuję nie w swojej skórze.

Nauczyłem się lubić być sam, przechodząc obok kościoła cieszyć się z pustej gabloty, która informuje o ostatnich zgonach i dalej iść z przeświadczeniem, że to jest dobry dzień. Przyglądać się jego obecności, jakby inny nie był mi dany. A wszystko to, co dzieje się wokół było tylko snem, wymieniam dzień dobry z napotkanym przechodniem. Cieszę się, że idę.

Tłumaczę sobie czas i udaję, że to wszystko na niby, tworzę dystans między mną a otaczającym mnie światem i wciąż nie daję rady, by być *dyrektorem*, albo *podwładnym*. Nie potrafię przekroczyć granicy, gdzie o sobie zapomnę, jakby to było największym świętokradztwem, jakiego mógłbym się dopuścić.

Zgodnie ze swoim wykształceniem, miałem być magistrem inżynierem technologii budowy maszyn i to jest faktem. Z powodu splotu okoliczności jestem nauczycielem matematyki w gimnazjum. Długo by o tym mówić, dlaczego tak się stało. Jedno jest pewne, nie mam czego żalować, gdyż moja struktura psychiczna by się tam nie nadawała. Uwieszenie od siódmej do piętnastej między sprawami natury technicznej byłoby ponad moje siły. Jestem więc w tym względzie dzieckiem szczęścia. I za to jestem losowi bardzo wdzięczny. Mój czas na twórczość to poranek i godziny przedpołudniowe. Godzę to z funkcją belfra. Gorzej *podwładnego* dla *dyrektora*. Świat na niby, role jakie nam się przydarzyły, są dla mnie nie do zniesienia. Częstokroć przeraża mnie fakt mówienia nie swoim językiem. *Dyrektor* patrzac mi w oczy mówi rzeczy, o które nigdy bym go nie podejrzewał. Widzę jak spełnia swoją rolę, jak udaje i nauczył się nie wiedzieć o tym. Tak utożsamiał się ze swoją funkcją, że trudno mu lub nie potrafi oddzielić? Jak myśli schematami, przedłożonymi przez instancje wyższe tzw. wytycznymi dla prawidłowego funkcjonowania placówki. Jak jest zakorzeniony w tym świecie na niby i w tym odczuwa swoją siłę, jak mnie ze statusem poety tego zakorzenienia brak. Odczuwam irracjonalny

lęk przed spotkaniem na ulicy, a konieczne czasem kontakty wymagają ode mnie nie lada skupienia się w sobie i wciąż przypominania o własnej pozycji.

Pozycja poety w małym miasteczku. Nie lubię o niej myśleć. Tak jak podejrzewam nie lubiłbym w mieście dużym i gdyby moje „akcje” tam byłyby proporcjonalnie znacznie wyższe. Stąd nie tęsknię za blichtrzem. Te same działałyby się problemy, tyle że w tle by pojawiały się bardziej makro.

Świat na niby, który towarzyszy mi każdego dnia gdy tylko otworzę oczy. No może dosłownie nie wtedy. Wtedy wszystko jeszcze jest dziewicze, ale gdy wyjdę na drogę czy otworzę telewizor? Ale te pierwsze mrugnienia powiek, pojawienia poranka są naprawdę cudowne. Nowy dzień. Nic się jeszcze nie zdarzyło, poza tym że się obudziłem, wstałem. Ta cudowna chwila przynależności do świata. Chciałbym ja przedłużyć w nieskończoność, mówić o niej i opowiadać. Mieć ją na własność jak to możliwe najdłużej.

JANUSZ ORLIKOWSKI

Krystian Medard Manteuffel

...miejsce

Jerzemu Grupińskiemu

...Cypr,
górska wioska na Wyżynie Trodos
rynek małego miasteczka;
brak miejsca w gospodzie,
krzyż na gruzach kościoła
oświetlają wojskowe reflektory
bazy Unitet Nations.

Na ścianach malowidła
Krzyżowej Drogi
w bizantyjskim stylu:
jakże realne wydają się tutaj,
gdzie na gwieździstej nocy
palmy jak anioły
rozkładają nielotne skrzydła.

Tuż za ruiną
w noc jasną zanurzona góra,
sceneria ostatniej drogi;
jeszcze na murze zostały postacie
z pejczami,
malowane wrzaski gawiedzi,
omdlenie matki,
gest Cyrenejczyka,
chusta Weroniki.

Cień krzyża przesuwa się
w świetle czujnego reflektora
w załomie dawnej krypty,
w zburzonym prezbiterium,
ustrojona scena narodzin,
jak pierwsza stacja Krzyżowej Drogi...

Wieża minaretu
wskazuje spoza ruin rozgwieżdżone niebo;
psia gwiazda – niezmiennie,
jedno i to samo miejsce na ziemi